

TYGODNIK WILEŃSKI

N^{er} 36.

Dnia 25. Lipca 1816 roku. v. s.

CHATKA

(Ułomek z pism Rossyanki N. A. G.)

Z ROSSYYSKIEGO.

(dokończenie)

Pocziwy Pustelniku! niemam dostateczney mocy aby wyrzec nienawistne, lecz zawsze święte jeszcze dla mnie imie..... Ono tu zostaje wyryte, (wskazując na serce) z jéy wizerunkiem i nigdy się nie zetrze. Drogo opłaciłem ślepy traf, wydaiący mnie na świat wśród pompy i wyniosłości, z utratą spokoyności i szczęśliwości moiey. Rodzice moi poświęcali dla mnie całą swą czułość, na pochlebney zasadzoną nadziei — uyrzenia kiedyś uwieńczoney swey dumy..... Na nieszczęście skłonności moie obaliły ich widoki. Powiedziałem ci już szanowny Starcze, że serce moie obrało za cel swego ubóstwiania anioła piękności i wszelkich do-

skonałości. Niesądź iżby to opisanie miało być fałszywe; gdyż zwiedziony miłośnik spostrzega wady, których dostrzedz nie może szczęśliwy. Lecz to bóstwo nie miało innych skarbów, nad te które mi przyrodzenie obdarzyło. Niestety! ta tak szczerdra dla niey matka, przepomniała utworzyć ją z wysokiego rodu. O jakiż niedostatek dla nienasyconego łakomstwa! Oyciec mój, dowiedziawszy się o passyi moiey, wszelkich używał sposobów aby mnie odwieść. Widząc próżność swych pogroźek, chwycił się takich środków, któreby stargały wszelkie me nadzieie. W tym celu wyjednał dla mnie u zwierzchności dowódstwo półku; i rozkaz wyścia z nim za granicę. Dotąd okazywałem wszelkie uszanowanie posłusznego Syna; lecz ten okrutny dla serca mego wyrok, wprawił mnie w rozpacz. Dowiedziałem się wkrótce, że sposobiono dla mnie cios jeszcze daleko nieznowniejszy, wygnanie i ciężkie okowy małżeńskiego związku. Nie miałem najmniejszey wolności wychodzenia gdziekolwiek bez dręczącego świadka, od którego wszędzie byłem ścigany. Naostatek pewnego razu wśród głębokiey nocy udało mi się uwolnić od mego stróża. Bynajmniej niewzłączając rzuciłem się oknem wychodzącym na ulicę. Miłość i rozpacz dodały mi skrzydeł, i chociaż z wielkim spadłem uszkodzeniem, jednak nie straciwszy by-

najmniey przytomności, poleciałem do mieszkania méy kochaney. Naywiększa cichość panowała w około jéy schronienia. Zbliżam się, drży serce, nogi się chwieią. Słyszę miłe jéy tony przerywane westchnieniem. Ciężki dźwięk arfy, którey strony opieszale odpowiadały na smutny głos śpiewu..... Ach! wszystko to, w takie wprawiło mnie zachwycenie, że zaledwo nie pozbawiłem się życia. Upadłem bez przytomności, i nie piérwéy przyszedłem do siebie, aż uczułem gorące łzy na twarz moią spadające. To była ona..... ona..... którą gwałtowny huk usłyszany przy moim upadku sprowadził na mój ratunek. Błada, drżąca, uwielbiana kochanka..... Co za widok. Długo nie mogłem byđź pewnym, czy nie weśnie zostaię, albo raczey powiem byłem w tym przekonany i lękałem się ocucenia. O jakbym był szczęśliwy, gdybym nawsze wówczas utracił był życie! zaklinałem; błagałem; niestety! groziłem nawet rozpaczą; lecz nic stałości jéy zachwiać nie zdołało. Mówiła, jak sama mądrość, płakała, jak czuła kochanka, radziła abym słuchał oycy; — bezsumienna; kazała mnie nawet zapomnieć o sobie..... Pamiętam jéy słowa: *Eugeniuzsu, zapomni o mnie bądź szczęśliwy..... żyj i kochaj.....* Nie mogła słów tych dokończyć. Tu stałość odstąpiła ją. Rzuciłem się jéy do nóg, nie prosiłem już aby uciekała ze mną, lecz

przysięgałem ją kochać do ostatniego oddechu, i nigdy nie slubować innej. Takową moją przysięgę stwierdziła wzajemną obietnicą. To jedno z niewalało mnie cierpliwie znosić ciężar życia, któreby w krótko truczna przecięła. Stokroć powracałem na to miejsce, gdzie się rozstałem; całowałem ziemię na której stała; skrapiałem ją łzami. Jutrzenka zastała mnie jeszcze leżącego bez zmysłów na mórawie. Widząc się nie w możności, przeciwieć woli oycy, postanowiłem udawać spokojnego, aby przez to wygnanie moje sprawić znośniejsze. Chcąc zupełnie poświęcić się obowiązkowi memu; miałem powod wymówić się pod tym pozorem od nienawistnego małżeństwa. Serce moje było ściśnione, lecz miałem dosyć męztwa udawać spokojnego; mówiłem wiele o sławie, aby przez to rozumiano, jakoby ta nad wszystko mnie zajmuję. I tak przymus najpierwszy naucza nas kłamstwa, jeżeli nie mamy sposobności uniknienia przemocy. Nie raz wyrzuciłem sobie tak przeciwny charakterowi mojemu postępek, lecz spodziewając się tym dopiąć moiego zamiaru, usprawiedliwiałem go, jako jedyny szrodek do zachowania szczęśliwości mojego życia. Wyszedłszy za granicę rozstałem się z nią, lecz w nadziei bycia kochanym stale, znosiłem tak okrutny wyrok. Niesłyszałem więcej o wyniosley Pannie R..... którą ambicya

i duma przeznaczyły dla mnie za małżonkę; karmiłem się nadzieją, że czas uprzątnie tę zawadę mojej szczęśliwości. Niestety! czas ten tylko zwiększył me nieszczęścia; odkrywszy wiarołomność i nie wdzięczność téy, za którą z ukontentowaniem poświęciłbym życie. Do czego znikło szczęśliwe omamienie, naywiększe słodzące przykroście? — W tedy jeszcze mogłem znosić nie sprawiedliwość świata, prześladowanie losu, a nawet przekładałbym rany serca moiego. Nie, sądzono mnie ciężkich doświadczyć ciosów, któremi groził los, podczas mamiącego blasku mniemanej rozkoszy. Po trzech leciech wygnania mego, powróciłem z korzystnymi owocami wyniosłości, pochwałami uwielbiany. Przedmiot zawisci, mych chciwych honoru rywalów, stał się w krótcie przedmiotem prześladowstwa i potwarzy. Znosząc cierpliwie los mój przekładałem siebie wśród nayliczniejszych zgromadzeń. Oczy i serce szukały jednego tylko przedmiotu. Próżna troskliwość! w krótcie dowiedziałem się o losie moim Zdrada była nadgrodą tak, stały i nieszczęśliwey namiętności, Przyjacielu! rzekłem; 65 lat ochłodziły krew moją: lecz i ja byłem młody, miałem pałające uczucie, i byłem nieszczęśliwy. Teraz jestem już na brzegu mogiły. W tém spokojnym schronieniu biesiadując z ostatkami mnie podobnych, nauczyłem

się w inney postaci uważać źródła naszych nieszczęść. Weydź w moją chatę. Tam się dowiesz, że niestałość naszych nadziei, jest powszechną dolą. Ciężkie westchnienie było odpowiedzią jego. Zdawał się nie myśląc postępować za mną. Nareszcie zbliżamy się ku chacie. Towarzysz mój nagle uchwycił mię za rękę; zbladła twarz okazywała jego przestrah. Chwiał się, oczy zdawały się szukać przedmiotu, który je poraził. Niezrozumiałe słowa obumierały na ustach. Nakoniec przerywanym wyrzekł tonem: g...łos..... Nic tu niéma nadzwyczajnego; rzekłem z uśmiechem postępując naprzód, i utrzymując go. Zaledwieśmy wstąpili na próg mego mieszkania, aż krzyk przeraźliwy dał się słyszeć po całej chacie; i nieznaiony zostawał już bez zmysłów na mym ręku..... Drżąca Eliza i ja spieszyliśmy mu na pomoc. O Eugenienszu! krzyknęła Eliza głosem serce rozdzierającym, wlepiwszy nie poruszony wzrok swój w martwe ciało nieznaionego; i łzy obficie polały się z jey oczu. Wszelka moja troskliwość nie była dostateczną, do ożywienia tego rospaczą wycięzonego ciała. Scieśniony oddech poświadczał o jego życiu. Kilka upłynęło godzin, pomiędzy strachem a nadzieją. Eliza żałośnie ścisłała martwą jego rękę. Ze smutkiem spoglądała na mnie; prosiła i lękała się dowiedzieć mego zdania. Naostatek ciężkie we-

stchnienie ulżyło nieco wewnętrzne cierpienia i przywróciło mu pamięć. Otworzywszy oczy spoglądał na klęczącą ułoża bladą i napół obumarłą Elizę. Spóyrzenie jego było naydobitnieysze; podobne do owego, które powinien był mieć pierwszy człowiek; gdy zostawał w zachwyceniu uyrzawszy zmyślnego cudownych w dzięków Towarzysza..... Lecz w krótcie ze drżeniem ukrywszy oczy, przeklinał nieszczęsne światło, stanowiące gorszki moment powróconego życia. Elizo! powtarzał kilkakroć z mieniającym się głosem. Elizo! tyś to jesteś? czy też cień twój przyszedł zwiększać me cierpienia? gdzieś jestem? w przybytku umarłych!..... Tak! wiarołomno! przyszedłem ścigać cię..... Elizo! tyś na ziemi, wśród rozkoszy, a ja tu, jeden. Żyi, niechcę mieszać twej szczęśliwości. Słowa te na przemian wymawiane z czułością i z wielkim roztargnieniem, naprzemian upewniały mnie, ogrożacém mu niebezpieczeństwie. Nieszczęśliwa Eliza drżała za każdym słowem. Naostatek nie mogąc znieść dłużey walki swych uczuć, padła martwą na ziemię. To żałośné zdarzenie odkryło mi całą prawdę, i stwierdziło moje domniemania.....

Andrzej Klimaszewski

D O B O G A

Boże dobroci prawdziwéy,
Co światem rządysz łaskawié ;
Wszędzie mocy sprawiedliwéy,
Ślady twe widać na jawie.

Wszystko Cię chwali stworzenie ,

Wszystkiemu moc twa nadaje.

Prawdziwe i stałe mienie ;

Wszystko twą chwałą poznaje.

Całe nadziemne sklepienie

Okryłeś suknią kwiecistą ;

Którey błyszczące promienie ,

Kryjesz czasem chmurą mglistą.

Ty ! w niezmierną przestrzeń morza

Zgromadziłeś wszystkie wody,

A łskniące się co noc zorza,

Twéy mocy wierne dowody.

Z gór czynisz doły głębokie ,

Z nizin wyprowadzasz góry ;

Z strug rzeki robisz szerokie

A z pogody ciemné chmury.

Xiężyc, który w wieczor wschodzi,

I obdarza światłem nocy,

Bardzo wiernie nam dowodzi,

Twéy mądrości z twéy mocy.

Ty to ziemi ruch nadałeś ,

I wszystkim błyszczącym zorzom

Wszystko mądrze udzielałeś ;

Ty głębokość dałeś morzom.

Słońce co pięknie przyświeca

I swym światłem ten świat zdo bi,

Ku twej chwale chęć w nas wznieca,
I czulszemi coraz robi.

Tobie ziemia winna plenność,

Te żywioly i te kwiaty,

A pory częsta odmiennosc

Różność tę daje jej szaty.

Przechwalców ty zginasz karki,

Sprawiedliwość swoją dajesz

Poznać gdy dopełnią miarki

Czulszym Oycem ich się stajesz.

Jakże my chwalić nie mamy

Twojej łaskawej dobroci

Która, gdy trosk doznawamy,

Wraz w wesołość je obróci.

Wszystkich ludzi sądzisz sprawy,

Wszystkich postępkę poznajesz,

Dla dobrych będąc łaskawy

Wieczną nagrodę im dajesz.

Platon Sosnowski.

W Y T R W A Ł O Ś Ć

Nie wszystko w ten czas, gdy człek chce przychodzi

Nieraz nie stała fortuna uwodzi,

Albo hojnie obdarza, szczęściem i honorém,

Albo gnębi w nieszczęściu, idąc zwykłym torem

Nie ufaj jednak, w bogactwach i złocie

Bo szczęście w cnocie.

Choć się uśmiecha szczęście zbyt nie stałe

Pamiętaj na to, że płocha, nie trwałe,

Tych opuszczając, drugim przyjaznym bądź zda się

Lecz i najszczęśliwszego, rzuca w swoim czasie.

Nie bądź zbyt wesoł, gdy ci szczęście sprzyja,

— Bo prędko mija,

Gdyś jest w nieszczęściu bądź zawsze wytrwałym,

Znoś nędzę, biedę umysłem tak stałym.

Zeby zawsze w otusze będąc i nadziei,

Czekać szczęśliwszého losu ślepego kolei.

Przyjdzie, a lotem nie ścigłym pośpieszy

W nędzy ucieszysz.

Przez tegoż

B A Y K A

z Francuzkiego

Ż ó ł w.

Jespan Zółw widząc nie raz Orła lot wysoki,

Umysłił powędrować pod same obłoki;

Więc doń przez posły swoje szle komplement taki,

Aby go raczył wynieść nad powietrzne szlaki.

Niezmiernie zazdrość serce Zółwia tłoczy,

Ze Orzeł lata na wzór błyskawicy;

A pragnąc widzieć Jowiszowe oczy,

Chciał z nim w olimpie rozmawiać Stolicy.

Co za rozkosz z wędrówki w swej myśli układa!

Zwykły sposób pełzania był mu uprzykrzony.

Więc go Orzeł podnosi; Zółw na ziemię spada,

I pod własną skorupą nieborsak zgnieciony,

Przed zgonem słowy odezwał się temi:

„Należało mnie, czołgać się po ziemi;

„ Nie podobna bez skrzydeł, wznieść się pod Niebiosy,
Również tego Panicza spotkać mogą losy ;
Gdy możnych naśladowiac, szczupłe mienie straci,
Krótką trwałą wystawność, golizną przypłaci.

Benedykt Paszkiewicz.

Dnia 15 Czerwca 1816.

S A T Y R A.

Ż O N A M O D N A

Jak się masz przyjacielu! mój dawny sąsiedzie?
Czyś zdrow, czy wszystko tobie pomyslnie się wiedzie
Zyżny plon, bujne żniwo, czy zdrowa obora?
— Dzięki Bogu — A Imość jak się ma niechora?
— Kaszla trochę, a przeto niechcąc byź kaleką
Wybiera się po zdrowie w podróż niedaleką.
— Dokądże — Do Karlsbadu, — to prawda że blisko
Lecz jak widzę to ze mnie czynisz pośmiewisko
— Szysz bracie. Ale wierz mi; powiadam ci szczerze
— Mów co chcesz, ja twym mowie w cale nieuwierzę
Zeby tylko dla kaszlu jechać w obce kraje
— Cóż robić? kiedy unich takie są zwyczaje.
Leczyć się w swéy oyczyźnie jest to przeciw modzie
Póysz przeciw woli żony myśli o rozwodzie
W net wyjeżdża z posagiem, a nie pomni na to :
Ze już posag zniszczyła, z mężowską intratą
A tak człek musi znosić to grymasne licho,
Zona wrzeszczy jak czayka; ty mężu siedz cicho.
Ledwo jeszcze co słońce rozpędza mrok blady,
Już Jéymość leżąc w puchu, „ podadź czekolady

Hey lokaje czém prędzey! bieży liczna rzesza
 Każdy na głos małżonki, nayskorzély pośpiesza
 A tak gdy sługa czeka jey skinienia twarzy
 Jéymosć piękném nazwiskiem każdego obdarzy:
 Ze ta zgraja słuźalców nikczemna, swawolna,
 Na odgłos swojey pani, pełźnie nazbyt zwolna
 Piękny tedy dobrydzień., Rozrzucone marki
 Nie opatrzone jeszcze dotychczas kanarki
 W moment niech tu przychodzi od ptaszarni sługa
 Biédna już tak oddawna nie spi ta papuga
 Kazać żeby tę klatkę odmieniła szpaku
 Dać kanarkóm sałatki cukierku i maku
 Niech Bufcio (1) pije zaraz mleczko na śniadanié
 Wymyć go, włos wyczesać, mieć o nim steranié
 Hayduk niech czyści meble — hayduk niedomaga
 Rzeknie rzesza — „ Patrzayże ... skądże ta powaga?
 Chory pan hayduk ... biédny...nieszczęście mój Boże...
 Niech pan hayduk choruje, gdy chorować może
 Dzisiaj nie czas mu leżeć w tak nagłey potrzebie
 Jeśli zaś wstać nie może, niech najmie za siebie.,
 A Jeymosć dobrodzika już nie pomni na to
 Ze hayduk sam się nigdy nie widział z zsplatą
 Bo poddani rzuciwszy woły, brony, pługi
 Od roli do pokojów poszli na usługi.
 — Piękna więc twoja żona — Ale słucháy bracie
 Mówmy daley, a kończmy prędzey o zapłacie
 Dawszy takie rozkazy więc moja rządczynna
 Spi znowu aż uderzy dziesiąta godzina
 Wstaje potém zaraz się schodzą na śniadanie

(1) Nazwisko pieska.

Garderobne, paniczne, rezydentki, panie
Siada Jéymosć na sofie, tuż Bufcio pod bokiém
Cieszy się z swoją panią, tak swietnym widokiém
A wiedząc co jest dla niéy naimilszą zabawką
Z jedneyże filiżanki posila się kawką
Odbywşy takie trudy, gdy nie czuje głódu
Raczy Jéymosć małżonka wstąpić dó ogrodu
Tam leciuteńką nogą obiegłszy zielenie
Znużona wchodzi między cyprysowe ciénie
Lub do gaju tchnącego balsamiczną wonią
Gdzie skrzydełka zefirów słodki powiew ronia
Gdzie słówik swém spiewaniém ucho oncy pieści
Gdzie smutnie brzęczy strumień gdzie liść drzew szeleści
Gdzie ale poco przedłużam mą mowę
Tam Jéymosć mając modą zaprzątą głowę
Wparłszy się na kwiecistej kanapy krawędzi
Cała się tém zatrudnia cały czas ten pędzi
Na dumaniu gdzie dzisiaj raczy byđ z wizytą
Czy koczém, czy warszawską pojedzie karytą
Czy kozak, albo murzyn, albo tatar z dzidą
Mają konno plonsować przed moją Filidą
Nakoniec tém zaprząta swóy dowcip głęboki
Czy ma dziś wziąć kapelusz na łokiec wysoki
Którym ją obdarzyły zagraniczne kraje
Jaki ma tylko ona, innym nie dostaje
Czy przypadnie do twarzy w kaszmirowym szalu
Byđ na masce, operze, albo teź na balu
Jakie ma na swém uchu zawiesić kolczyki
Czy może dzisiaj włożyć te modne trzewiki
Które nie dawno (niewiem na jakąś tam fetę)
Z paryża sprowadziła przez szybką sztafetę.

Przecież namysliwszy się w jakich będzie strojach
Wnet ją znowu, witaią sroki na pokojach
Wnet wydaje rozkazy ... w domu wrzawa wszędzie
Każdy krzyczy — „hey! Pani ubierać się będzie
Stuku pełno jak gdyby już skończenie świata
Co słowo piorun z piersi iak z nieba wylata
Ta niesie wodę pani, i pachnące mydło
Ta ręcznik holenderski, pęcherz i bielidło
Ta pomadę do włosów, ta grzebień na głowę
Owa włoskie perfumy, wódki lawendowe
A ta proszki do zębów, sinidło do lica,
Którego na cal biorąc, twarz swoją zaszczyca
Gdy więc na tém przepędzi, Jéymosć cały ranek
Kocz Warszawski zajeżdża z trzaskiem przed krużganek
Tedy Jéymosć małżonka wsiadłszy do pojazdu,
Schyleniem główki mężu daje znak wyjazdu
Bawi się potem krótko na balach, operze,
Bo ledwo w noc o piérwszý wraca na wieczerzę.
— Może się też poprawi — Ja sobie nie tuszę
Ale bądź zdrów mój bracie spieszno odeysć muszę.
— Dokąd? — Idę po pasport a potem podskoczę
Po sześć bryk, dwie karyty, i trzy jeszcze kocz
Zeby Imosć zabrawszy sroczki i czyżyki
Kanarki, piękne szpaczki, skowronki, słowiki,
Wszystkie klatki, a z niemi indyyskie papugi
Swoją godność i dla niéy przeznaczone sługi,
Szczęśliwie poleciała szaleć w obce kraje
Szukać mod, których jeszcze polsce nie dostaje;
A zapewne przebywszy kraje w modę płodne,
Przywiezie do nas grzebień, lub trzewiki modne.

Jędrzey Gastrzébki.

PRZEMIANA

M I Ł O Ś C I

Między jednym poetą i pewną panią wszczęła się chwalebna, acz rzadko dzisiaj dająca się słyszeć rozmowa, o miłości bliźniego. Lecz jako się zaraz okaże i ta niestety! wytrwać długo nie mogła między osobami, których serca, bardziej ulubionego przedmiotu niż bliźniego miłością pały.

Pani ta mając wrodzoną kobietóm duszę tkliwą, nader przykładnie zasadzała miłość bliźniego, na odjęciu sobie użyteczney a nawet nie odbicie potrzebney rzeczy, dla oddania jey, ku wspomózeniu potrzebuiącemu; czyli na własney, że tak rzekę, nienawiści dla miłości bliźniego. Poeta zaś nie widział potrzeby takiego o sobie zaniebdania i utrzymywał, że można razem bliźniego i siebie miłować; a idąc za poezyi prawém, które każe korzystać z najmnieyszey wydarzoney okoliczności, mogącey nastreczyć pole do *szczytnych wybuchów* Imaginacyi i czucia . . . , okazałtęy pani drogę i podobieństwo kochania siebie samey, przy niczém nie nadwerezoney przez to miłości drugiego, w następnych dwóch wierszach:

„Kochay się Pani, w tey co ja osobie . . .

„Polubisz siebie, pokochasz się w. sobie.

M. L.

DO PANA PAWŁA

Mówisz że Mamert głupi, zgadzam się i wierzę:
Bądź jednak dyskretniejszym mój Pawle w tój mierze.
Chrześcijańska Religia, nakazuje tobie;
Nigdy źle nie mówić o podobnych sobie.

NA WIERSZOKLETĘ

Co domnie, robię rymy prędko i przyjemnie,
Rzekł Edmund, nikt wyborniejszy nie pisze nademnie:
Wiersze nic nie kosztują, nigdy mojej głowie.
Kosztują, czego warte, żartowniś odpowie. (1)

(1) Podobniutka epigramma znajduje się w ostatnim numerze Dziennika Wileńskiego. Rzecz dziwna, jak dwaj pisarze, francuzki i polski, na jedną i tąż samą myśl trafili (zapewnie jeden geniusz obu ją podyktował), nie sędzę bowiem aby to było tłumaczenie; boby pisarz polski jako tłumacz, nieprzepomniał przynajmniej wyrazić, że to jest przekład lub nśladowanie z francuzkiego.

Dozwala się drukować z warunkiem przedstawienia do Komitetu sześciu exemplarzow dla miejsc przeznaczonych. Dnia 20 miesiąca Lipca roku 1816.

G. E. Groddeck P. Ord. Czł. Kom. Cenz.
Niszchowski P. Ord. Czł. Kom. Cenz.
X. J. K. Chodani Prof. Ord. Czł. K. C.